

Jacek Wangin
Przejołka



Jacek Wangin
Przełomka



Przełożka



Przewrotka

Jacek Wangin

Jirafa Roja
Warszawa 2012

© Copyright by Jacek Wangin, 2012

© Copyright by Jirafa Roja, 2012

Redakcja: Hanna Kukwa
Korekta: Hanna Kukwa
Łamanie: Tatsu  tatsu@tatsu.pl
Rysunek na okładce: Ewa Sabała
Zdjęcie autora: Karolina Wangin

ISBN 978-83-61154-97-6

www.jirafaroja.pl

Wydanie I
Warszawa 2012



Spis treści

Trybalik	7
Lena	19
Śmieszna Góra	49
Przewrotka	61
Bądźcie posłuszne	87
Akwizytor	111
Popołudnie Pesela	125
Nawiedzenie	135
Melon dramat	161

Trybalik

Autobus był coraz bliżej, a od przystanku dzieliła mnie ulica. Wybiegłem wprost pod rozpędzonego matyza i oparłem się o maskę. Hamulce jęknęły, a z okna wyskoczyły blond loczki:

— Ślepy jesteś, capie?!

— Serdeczne panią przepraszam, nie mogłem oprzeć się pokusie.

— Palant!

Nie miałem czasu na wzajemność. Słońce przylepiło koszulę do pleców, przypalało skórę bez litości, ale zdążyłem. Autobus zakwitł na światłach przed skrzyżowaniem. Na przystanku młode małżeństwo dyskutowało o wielkości pampersów dla bobasa pomrukującego w wózek. Neoplan w końcu podjechał i bobas, zdrętwiały ze zdziwienia, znalazł się wewnątrz wraz z wehikułem i rodzicami. Mężczyzna pozwolił małżonce usiąść, a sam trzymał rękojeść spacerówki. Żona zwała się ciężko naprzeciwnie i mocno wachlując udami chłodziła trójkąt granatowego stroju kąpielowego. Skrawek materiału tym razem nie mógł pobudzać męskości. Jego funkcja publiczna, plażowa, nijak nie przystawała do pokusy zaglądania w kobiece intymności.

„Kiełbie we łbie, coś ze mną nie tak”, pomyślałem i przeszedłem na tylny pomost. Drzwi z sykiem otworzyły się na następnym przystanku. Osobnik, który przy mnie stanął, po zmroku mógłby wywołać paniczny strach. Dobrze obejrzałem go przez

szybę, zanim dobiegł do przystanku. Drugi wyglądał na grzecznego licealistę i za logo buntu musiała mu wystarczyć wojskowa „kostka” na parcianych paskach, pokryta licznymi rysunkami oraz glany, śmieszne w tym upale. Czułem zagrożenie bliskością ich łokci, znalazły się na wysokości mojego nosa. Obaj trzymali się poziomego drążka pod sufitem i bez intencji wypychali mnie w kąt. Starszy nie potrzebował przy tym agresji. Pacyfikował mnie ostrym kwasem spod pachy i skutecznie pozbawiał nie tylko woli walki, ale wręcz woli obrony terytorium. Próbowałem ośwoić sytuację, jakoś zaakceptować przymusową bliskość. Starszy, na oko trzydziestoletni, wrednym pyskiem przypominał filmowego Tatara, ze skoszonym okiem, bródką i łysą pałą. Odkąd „Pan Wołodyjowski” urozmaica święta, taki sam Chalim zawsze napina grzbiet na widok Azji Tuhajbejowicza. I ten też był kluty siną farbą, tyle że nie po cyckach, a po badyłu łapy, wyrastającym zbyt blisko moich oczu. Blizna po szczepionce robiła mu teraz za wytrzeszczone oko indiańskiego wodza z nastroszonym pióropuszem. Poniżej, na przedramieniu, chiński ideogram raział pionowym wzorem. Tatarski syn jeszcze raz dzielił mnie kwachem potu i ostatecznie wyłączył potrzebę dalszej refleksji. Odwróciłem głowę. Gapiłem się w szereg bogatych domów za oknem, zamieniając się w słuch. Licealista, wystarczająco niegroźny, zaczął delikatnie, z wyraźnym respektem:

— Co u ciebie?

— Leci, młody, leci dzionek za dzionkiem, co nie?

— Twoja Magda już niedługo chyba rodzi?

— Rodzi, niech rodzi — tatarskie nasienie ziewnęło mi w szyję.

— Magda to jeszcze baba, czy już żona?

— Baba, co nie? Na wieki baba.

— Nie chce się żenić?

— Ona chce, ale co mam się spieszyć? Frajera maca, co nie? A niech ma nadzieję.

— Będzie chłopak, czy dziewczynka?

— Dziura. Myślałem, że chociaż gangster będzie, że na osiemnastkę dam mu dziarga, co nie? A tu dziura, pod zapychanie, młody, wszystko skopane.

— Ale sam parę niezłych dziargów strzeliłeś.

— Indiańca to we wojsku. Nudy były straszne, to se rysowałem, co nie? Potem wziąłem się za dziarganie innych.

— A ten japoński napis coś znaczy?

— Chiński. Nie wiem, z paczki od makaronu, ale ładny był wzorek, co nie?

— Też sobie lubię porysować. Siadam przed pudłem, pilota biorę i patrzę, co tam skacze po ekranie i zawsze coś wymyślę. Patrz mam na kostce trochę wzorków.

Ponownie odwróciłem głowę, zaciekawiony, zobaczyłem granatowe, wyblakłe nieco mazańce, odrobinę przypominające roślinne pnącze. Młody nieśmiało podniósł wyżej plecak i skromnie czekał na ocenę.

— Twoje trybaliki, czy brałeś od kogoś?

— Nie, to moje, serio. Długopisem rysowałem, sam wymyśliłem.

— No to jeszcze musisz dopracować. Bo mało kręci, co nie? A trybalik musi być twój, młody, najważniejsze żeby znaleźć swoje, co nie? Kurwa, młody, to po grób ma być twoje, bo co se wymyślisz, to tylko twoje jest i nikt ci ze skóry nie zdejmie. Trzeba się jakoś wyróżnić z tych leszczy w krawatach, ze stada świrów, co nie? A masz już coś na łapie?

— Nie, jeszcze nie... za młody jestem. Wiesz, boję się rozstępów potem, jak ręka pójdzie wszerek, wszystko się rozjedzie.

— To może rzeczywiście poczekaj. Potem wzorek na łapę i kremik Nivea, powinno pomóc, co nie? Fajna sprawa, młody. Gówniary się podniecają, ćwoki się boją, a ty gość jesteś i srasz na leszczy, co nie?

— No. Trochę też rysuję, wiesz, z gazet coś zobaczę, jest takie pisemko, sporo tam można znaleźć. Dziś walnąłem taką babkę na kolorowo...

— Teraz masz wakacje, co nie? Głupoty po głowie chodzą, babki się marzą?

— Nuda jak cholera, siedzę przed ekranem, a jak wpierdalam następne kilo czekolady, to chociaż sobie porysuję. Może sprzedam komuś pomysł, znasz kogoś?

— No, ja też parę sprzedałem, dla jaj sobie malowałem, co nie? Poszedłem do takiego, co wiesz, te chujumuju farbką na Monciaku maluje waflom i gówniarom, na skórze. Pokazałem, co nie, a on do mnie, że zapłaci. Myślałem, że jaja sobie robi. Widzisz, młody, na sztuce idzie dziś zarobić!

— Pracujesz gdzieś?

— Latem trochę. Zimą w domu siedzę, nudzę się, bo lubię się ponudzić. Flaszke strzelę ze sąsiadem, co nie. Lubię przy oknie posiedzieć, popatrzeć, jak piżdzi na ulicy i syf dokoła. Latem u takiego męta na budowie trochę, żeby się pokazać psom, bo węższą. Wiesz, młody, wojownik musi mieć i na łapie pióropusz i pod deklek rozum, co nie?

Wskazał Indianina na ramieniu, gdy zbliżyłem się do drzwi. Zachłysnąłem się powietrzem i teraz silniej poczułem pragnienie. Zbyt długo czekałem, żeby zacząć wolny dzień od piwa. Szło za mną od drzwi mieszkania i pachniało wszędzie. Podobnie jak pachniała wytęskniona samotność w tłumie, bezinteresowne zanurzenie w potoku turystów przewalających się przez Monciak.

Wszedłem do piwnego ogródka i już wpatrywałem się z rozkoszą w plastikowy kubek, napełniany złotem z pianką. Czarna uśmiechała się za wąskim blatem, ponad stanikiem obciążonym do granic tekstylnej wytrzymałości i rzucała krótkie życzliwe spojrzenia, jakby czekała na moje „stop” nalewaniu. Widać pragnienie miałem wypisane na gębie, posłała jeszcze jeden uśmiech gratis i już czułem pod palcami chłodną rosę. Z każdym łykiem wypełniał mnie luzik pierwszego dnia urlopu, a pole widzenia pokrywało się przyjemną mgiełką. I tylko w nosie kręcił ciągle smród spod pachy tatarskiego nasienia.

Ale już nadszedł dobry stan, gdy pytania zatrzymują się w biegu, a oczy chętniej szukają stałego punktu odniesienia. Mózg, błogosławiony przez alkohol i słońce, stawał się papką bez śladu refleksji. Na chodniku falowały rytmicznie postaci, którym mogłem przyglądać się bez intencji, interesu i interakcji. Na odległość ludzie zwykle wydają się normalni, mili, otwarci i inteligentni. A dziś szczególnie stanowiło to podporę miłości bliźniego.

Coś mnie jednak korciło, gdy po raz kolejny zatrzymałem wzrok na starszym gościu. Prawie byłem pewny, że go znam. Z profilu przypominał aż nadto docenta, z którym przed kilkoma laty miałem ćwiczenia i wykłady z historii filozofii. Nigdy nie uzyskaliśmy pewności, czy mocniej pociąga go marksizm czy egzystencjalizm. Chodził w czarnym golfie i czarnych sztruksach, palił fajkę, ale wykladał najchętniej Lenina, Marksa i podpierał się Engelsem. Na konsultacje przyjmował w pokoju z biurkiem obwarowanym książkami Kierkegaarda, Jaspersa, Sartra i podczytywał Camusa. Zupełnie jakby dwa kierunki podzieliły jego osobowość. Do zainteresowania pierwszym zmusiła epoka, w której przyszło żyć i budować karierę, do drugiego zaś zachęcała pasja. Może było odwrotnie? Dziś nie miało to żadnego znaczenia. I tak nic nie pozostało z jego wykładów. Najwyżej uraz, nawet niewielki, bo przecież to był mój pierwszy egzamin na studiach, pierwszy egzaminator, a pijany był jak w Szwecji. Siedział czerwony niczym indor, a po każdym pytaniu zostawiał mnóstwo czasu. Wychodził do kantorka, gdzie walił w gardło aż dudniło. Dotrwałem tak do ostatniego pytania o dewiacje teorii marksistowskiej, a jego oczy świeciły już króliczą czerwienią i nad głową zawiśł monsturalny obłok trawionego alkoholu. A dziś docent, to był on z całą pewnością, nie wyglądał nawet na dewianta marksistowskiego. Zaczepianie go nie miało najmniejszego sensu, ale piwo i upał rozmiękczyły mnie i zachęcały do absurdałnego towarzystwa. Nie mogłem oprzeć się pokusie.

Czarnula zerkała na moje piwo, pozostawione na stoliku, ale o nic nie pytała. Spojrzała na otwartą dłoń, a na niej przeliczyła sześć złotych. Uspokojona napełniała nowy plastik, lejąc ostrożnie po ściance, żeby nie bić zbyt ciężkiej piany. Po drodze zabrałem swój kubek i podszedłem do jego stolika. Postawiłem dwa piwa na brzegu, przed sobą i czekałem aż mnie zauważy. Nie podnosił głowy. Oglądał coś pod stołem, niespokojnie, i co chwila zerkał na dwa srebrne mercedesy stojące w pobliżu. Trochę zaskoczyło mnie to ignorowanie i przerwałem milczenie.

— Dzień dobry, panie docencie.

Podniósł głowę wolno, jakby nie wierzył, że to do niego, i nieco podejrzliwie przemówił:

— Przepraszam, my się znamy?

— Znamy, to za dużo powiedziane. Raczej spotykaliśmy się kiedyś przez jakiś czas, a teraz niespodziewanie mogę podziękować za tamto spotkanie. Nie odesłał mnie pan wtedy na wrzesień, a cieniutki byłem z tych dewiacji marksistowskich.

Obejrzał się szybko dokoła i pochylił nad blatem stolika, akurat w tym momencie, kiedy przesuwalem do niego piwo.

— To przeszłość. Odeszła, niech pan jej nie woła z ciemności, już tylko wstyd z tego może wyjść. No i niech pan głośno nie wspomina, mówi pan do emeryta.

Był zatem emerytem. Wolnym filozofem pośród wyścigu szczurów i innych gryzoni. Przeżył swój bieg, przepił, czego nie mógł przeżyć, a teraz trwał w prostej jednostajności dni.

— Ale piwo to miły gest z pana strony. Szczególnie w taki upał, dziękuję. Tak, bardzo dziękuję. Mówi pan: spotykaliśmy się? Dawno to było? I co ja panu dałem z tych dewiacji?

— Kilka lat upłynęło. To był miły gest ze strony pana docenta. Jak zacząłem żalowaną odpowiedź, wyszedł pan do kantorka, potem wrócił i wstawił w indeks dostateczny z plusem. Już nikt nie robił mi takich gratisów.

— To znaczy, że tak na początku lat dziewięćdziesiątych

to było? Początek tego dramatu, co? Prawda, że było ciekawiej? Tyle nadziei wszyscy wiązali z wolnością.

Oplótł dłonie wokół kubka. Łysina wydłużała smutną twarz, a skóra zapadała się głęboko w miejscach przeznaczonych na policzki. Docent miał na twarzy tyle smutku, co wewnętrznego spokoju i tylko nerwowo przywierał wzrokiem do dwóch srebrnych mercedesów po drugiej stronie ulicy. Jednak przeniósł spojrzenie z karoserii aut i przyglądał mi się dosyć badawczo, jakby grzebał w pamięci. Nie zamierzałem mu przeszkadzać, chociaż byłem ciekawy następnej reakcji.

— A wie pan, że zaczynam coś kojarzyć? Tak, pan chyba należał do tych aktywnych studentów, którzy lubią podyskutować. Zresztą, nie ma wielu mężczyzn na pedagogice, skandynawistyce, filologii słowiańskiej, chyba jakoś tak mam pana kojarzyć, prawda? W latach, o których pan wspomniał, już nie pozwalali mi prowadzić wykładów na innych kierunkach... minęła moda na marksistów i byli źle widziani. A że nie starczyło odwagi na wykopanie relikwii z uczelni... czekali cierpliwie, aż sami powyždychamy jak mamuty... nieważne. Ale pan ciągle młody, a ja ciągle stary. Co pan teraz porabia, po skończonych studiach?

— Rzeczywiście, studia skończyłem, nawet z drugą notą na roku. I jak wszyscy poszedłem do pracy, budować wolny rynek, jako przedstawiciel handlowy. Nie chciałem męczyć się w szkole za grosze, nosiło mnie, więc zacząłem sprzedawać soki i napoje. Włóczyłem się codziennie po północy kraju. Samochód, hurtownie, sklepy, ciekawi ludzie, których los nie pieści. Ale zmieniło się kierownictwo. W modę weszło pranie mózgu, targety, debilne szkolenia, optymizm na transparentach, gorszy niż w realnym socjalizmie. Odszedłem do takiej fundacji, która jakoś umożliwia dalszy rozwój. Teraz akurat cieszę się urlopem. Jeszcze chętnie pochodziłbym do szkoły. Może zaocznie zacząć studiować, może jakiś marketing? Nie wiem. Magisterium zeszło na psy, panie docencie, byle prostak może je mieć,

więc powinienem zapisać się na studia doktoranckie. Wie pan, byle nie stać w miejsku.

— Studia? Doktoranckie? Życia szkoda, tyle dokoła możliwości. Naukowcy to śmieci w budżecie, mój panie. Pożeracze gotówki, którą można wydać pożytecznie. Przecież wszystko co humanistyczne, to dyscypliny, bez których doskonale obchodzi się wolny rynek. Chce pan uprawiać nieszkodliwe hobby za państwowe pieniądze? Niech pan to przemyśli, dobrze przemyśli. Szkoda czasu. A życie miewa się świetnie zawsze obok nas. — Uśmiechnął się, dyskretnie wskazując palcem blaszane pudła po drugiej stronie.

— I co z nimi? Chciałby pan takie mieć?

— Nie, za stary jestem. Co ja bym z nimi robił? Ja już nie mam dokąd jechać. Zresztą wie pan, ciągnie od nich dressem, jak to młodzi mówią. Ja to bym je najchętniej gwoździem porysował, szybkę stłukł, ale boczną, i może koła przebił? Jedno, na początek. Za dwa dni buchnąłbym przednią szybkę. Odczekał, a za kilka dni, najpewniej podłożyłbym pod nie ogień.

— Po co to panu, panie docencie? Nie wygląda pan na zawistnika. Nie bardzo rozumiem. Szuka pan mocnych wrażeń?

Milczał, ale uśmiechał się lubieżnie, po chwili spojrział mi w oczy:

— Może warto trochę zaistnieć na koniec? Takie rzeczy to wie pan, z przeproszeniem, prasa kupi. Emerytowany nauczyciel filozofii, szanowany akademik, naukowiec, nikomu niepotrzebny, rozpieprza mercedesy włodarzom miasta. Czuje pan temat? Może zwariował, a może geriatryczne podrygi buntu i bezradności? Niezłe, co? Prasa, radio, telewizja, pierwsze strony. Panie, ja chociaż przez chwilę poleżę w kioskach, w empi-kach, w czytelnich, w domach na kuchennym stole. Zostanę w archiwach telewizji, na półkach radiowych, a tak nic! Uby-wam razem z tym piwem i nic!

— Albo twarz panu otłuką i będzie po zawodach. Chyba zo-stawił Pan po sobie coś ważniejszego? Choćby jako akademik.

— To nie to samo, mój panie. Chciałbym pod strzechy, do tysięcy naraz, to jest odbiorca! Masowy! Coś tam wysiliłem przez lata i nabzdyczyłem po czytelnich i sesjach naukowych, ale dziś to zbiera kurz na półkach. Psu na buty! Owszem, było potrzebne, bo były wymogi. Ale byle urzędnik też ma wymogi formalne, zapisuje tony papieru, z których pożytek taki, jak z moich publikacji. Prawda, niektórzy sięgają, zło konieczne. Jeśli już ktoś, to tylko studenci. Wie pan, przyjdzie zdać egzamin z filozofii albo cytaty potrzebny do magisterki i guzik, nic więcej.

Wyłączył się na moment, przełknął sporo piwa i w półobrócony patrzył mi w twarz, jakby jeszcze raz zastanowił się dlaczego zdobył się na to wyznanie. Czy mogłem zrozumieć intencje? Może była to tylko niewinna prowokacja, która zmusi mnie do zmiany decyzji o robieniu doktoratu? Uśmiechnął się i przemówił:

— To, co człowiek pisze, tworzy, wyczarowuje z niczego, bądź ze spotkania z innymi, to, czym żyje, jest potrzebne do życia jemu samemu. Nikomu więcej, ręczę panu! Kto chce inaczej, miesza do tego pychę. W niektórych wypadkach może to potrzebne jeszcze dzieciom, żonie, żeby mogli znajomym pokazać przy pogrzebowym obiedzie, ku pamięci. Gównu za życia, gównu po śmierci. Nie sposób przecież przejść przez życie bez odrobiny szaleństwa!

— Mercedesy uczynią pana innym? Teraz to jaja pan sobie ze mnie robi? Przecież to takie wydumane i tandetne, panie docencie!

— Mercedesy to ja akurat... z przeproszeniem: sram na nie zwyczajnie. Ale wielu może jeszcze da to do myślenia.... właścicielom, co już nie pamiętają jak smakuje porażka, chwilowe wykołajenie z sytości. Tym, co nie znają niespełnienia, bo zawsze udaje im się spadać na cztery łapy. Wożą brykami próżność, a przyciemniona szyba przesłania im świat. Jakby odebrać zabawkę...

— ... wsadzą ciecia za kierownicę, wyślą do warsztatu i każą sobie szybko naprawić. Albo kupią nową brykę, też za publiczną

kasę, a pan skończy w pierdłu! W najlepszym razie w wariatkowie. I to też będzie inne doświadczenie, którego pan nie zna?

— To akurat znam. Kilka lat tułaczki po świecie i cztery na wikcie UB. W trosce o godność rodaków, za służbę w podziemiu.

— Przepraszam, ale ten pański pomysł wydaje mi się nie tyle szalony, co żaloszny...

— Nie pomysł, to ja jestem żaloszny i chciałbym z tego wyjść, jakkolwiek. Niektórzy mówią: na ból działa tylko silniejszy ból. A propos bólu, przepraszam, ale musimy przerwać pogawędkę. Właśnie nadchodzi mój prywatny barbarzyńca.

Spojrzałem w prawo, bo tam wcześniej zerknął mój rozmówca. Nadchodzili ci dwaj, których spotkałem godzinę temu w autobusie. Tatarski pętał w mgnieniu chwili znalazł się tak blisko, że znowu poczułem kwas spod pachy. Oparty pięścią o blat, błysnął na docenta złym okiem. Grzeczny licealista kręcił się i niespokojnie rozglądał, przestępował z nogi na nogę, jakby czekał na sygnał do ucieczki albo zabezpieczał tyły. Jeszcze raz tego dnia usłyszałem głos tatarskiego:

— Teraz dziadek już przegiąłeś, co nie? Szukam cię godzinę, wyłaziłem się za tobą jak jehowy, a ty co? Znowu bajerę kręcisz? Mówilem, kurwa, żadnego filozofowania, masz to dawno za sobą, co nie? Teraz jest rodzina do nakarmienia, komóry do opłacenia, kablóweczkę chce się mieć, prenumeratę tajmów, jorkerów, jakieś nowe książeczki, w przełyk jebnąć też się chce, co nie? A emerytura państwowa i nie idzie uzbierać na browar pod parasolem! Kumaszczyk, czy masz do łba daleko?! Dziadek, tu mówi ziemia, halo, słyhać?! Ziemia, a nie rozważania przy browarku z kolesiami, co nie? Gdzie masz towar, dziadek?

— Zaraz, moment, spokojnie. Widzisz, Tomuś, są różne techniki marketingowe, przecież ci tłumaczyłem. Dla każdego klienta obowiązuje inna forma sprzedaży. Przecież to nie rogale, prawda? Mam tu pana, który studiował u mnie, nie

mogę tak z grubej rury, na dzień dobry, zaraz proponować towar, prawda?

Profesor mrugnął do mnie porozumiewawczo, czego nie mógł widzieć ani wnusio, ani tym bardziej roztańczony licealista. Wiedziałem już, że muszę się wstawić za emerytem. Wnuk jednak nie dał się nabrać.

— Dziadek! Cały różaniec towaru kitrasz po kieszeniach i filozofie mi wkręcasz?! Gdzie kasa?! Sprzedałeś coś? Miałeś spida pchnąć!

— Cicho bądź! Reklama akurat nam tu potrzebna? Dopijemy piwko, wyjdziemy z panem za róg, dokonamy transakcji i pieniądź będzie. Zresztą, mój znajomy mieszka w hotelu, jest na spotkaniu firmowym, integracyjnym, wieczorem ma imprezę, znajdzie się nowa klientela, tylko uspokój się i nie płosz gościa.

— Tobie, dziadek, całkiem odwalilo, co nie? Skończył się zasrany profesorski żywot! Teraz ma być praca, a ty co?! Zaocznie techniki marketingowe odpierdalasz, co nie?! Nic się nie znasz na interesie, pasozycie!! Małolatów pęta się tu od nasrania, wakacyjne żniwo, a ty siedzisz i trącasz browar, co nie?! Wracam za godzinę, w to samo miejsce! Nie chcę cię widzieć przy stolikach, a jak będziesz miał towar w kieszeni, inaczej pogadamy.

Oddalał się tyłem z wyciągniętą do przodu prawą dłońią, skierowaną w dół, jak raper z murzyńskiego teledysku. Było mi wstyd, empatia zrobiła swoje. Siedziałem cicho, jakby to mnie wytatuowany palant wstawił wszystkie zębki. Najchętniej wziąłbym działkę, żeby uratować starczą skórę docenta. Twarz mu purpurowiała, jak wówczas, w trakcie egzaminu. Na dłużej stracił werwę do napadu na mercedesy i skóra na twarzy się napięła. W końcu uśmiechnął się nieco boleśnie i zapytał cierpko:

— To jak? Kupi pan działkę od starego docenta?

— Oczywiście! — Uśmiechnąłem się i chwyciłem za kieszeń z portfelem.

— Wie pan, Tomuś to dobry chłopak, ale wychowany przez matkę. Ojca raz tylko zobaczył, to mu solidnie obił twarz... potem szybko się potoczyło, otarł się o poprawczak, no i jest trochę nerwowy. Zresztą, ma nerwowych mocodawców, a pracować gdzieś trzeba. Wspomagam go jak mogę. Mniej rzucam się w oczy, coraz więcej klientów mnie rozpoznaje, a psy puszczają bokiem starca.

— A etyka? Nie przeszkadza to panu?

— Etyka, to jest świetny wynalazek, ale w dojrzałym społeczeństwie lub na uniwersytecie. W realiach ulicy, nie można kpić z siebie, tu codziennie trzeba chodzić po ziemi.

Pochylił się ku mnie i niby ściskając dłoń, podał mi foliową torebkę z dwiema tabletkami. Oddałem posłusznie banknoty. Wstał powoli i przechodząc za oparciem krzesła, uściśnął mój bark.

Lena

*... chwalimy Cię, Błogosławimy Cię, Wielbimy Cię. Wystawiamy
Cię. Dzięki Ci składamy, bo wielka jest chwała Twoja.*

... ale dziś to co innego. Dziś zupełnie nie mogę się skupić. Przyszedłem z obowiązku, wiadomo, ale też z wdzięczności. Przeżyłem tydzień w zdrowiu, nawet na chleb wystarczyło i kilka przyjemności, w sumie jest za co dziękować. Wiesz, że nie umiałbym inaczej... chyba. To jak nałóg, może natręctwo? Jeszcze tradycję i przykazanie dorzucę do tego worka, nie zapomnę. Sama modlitwa wystarczy w lesie, w autobusie i w piwnicy. Jednak coś mnie tu pcha, bo jak nie przyjdę, przyklei się strach. Obawa, jak z zapowiedzi plag egipskich. Czemu przychodzę, chociaż wiem, że się nie skupię? Wiadomo, boję się ojcowskiego palca z ostrzeżeniem. A może zemsty? Czy wówczas byłbyś Bogiem Miłosierdzia, czy raczej małostkowym demiurgiem? Mściwym bożkiem, który czeka na potknięcie i najmniejszy przejaw niewierności. Takiego mam się bać? Takiego kochać? A przecież nie mogę nie przyjść tak po prostu.

Nie, nie mam żalu o wewnętrzny nakaz, ale szedłem pustymi chodnikami, bo o tej porze normalni ludzie leżą na plaży. Tym bardziej nie powinienem, a szedłem. Czy jestem lepszy niż babacie po bokach, co wyciągają różańce zamiast słuchać Słowa? Gorszy jestem, bo świadomy, mądrzejszy i lepiej wykształcony. A jaki obłudny! Bo co? Bo mam zakodowany obrazek zasmuconej Bozi,

jeśli pójde na piwo zamiast do kościółka? Tak, noszę zarodek paranoi jak znakomita większość rodaków. Rozwija się i naciska na wszystkie ściany brzucha. Kiedyś pękne i nie zdziw się jak nie przyjdę. Już nie wiem w kogo bardziej wierzę: w sprawiedliwego Sędziego, w surowego Ojca, czy miłosiernego Zbawiciela? W liżanie rozgrzanej patelni przez wieczność też wierzę, całkiem jak w błogie lenistwo na zielonych łąkach, bo za złe karze, a za dobre wynagradza i tak dalej. Przeskakuję jak po szachownicy, a i tak odmierzone mi będzie jak z aptecznej wagi. Za dużo imion, zbyt wielu nauczycieli i ogrom tłumaczeń, a jeszcze więcej odpustowych kazań.

— ... *Oto Słowo Boże...*

— *Bogu niech będą dzięki...*

Raz mi się udało, przez kilka tygodni nie miałem pokus, ale do spowiedzi przyszedłem, jak Kościół kazał, w pierwszy piątek. Musiałem. Plunąłem kilka razy jadłem w tego palanta. Ale jaki tam z niego sąsiad? Zwykły bydlak! Nawet nie to, że psychicznie żonę katuje, że robi z niej służącą. Nawet nie to, że każe czekać na siebie za sklepem, gdy ciągnie browar z kumplami. To wszystko było do łyknięcia, ale nie zniosłem, że przychodzi i zwyczajnie z niej szydzi! Gardzi w obecności moich rodziców jej pokorą, jej zmęczonym oddaniem i bezsilnością... jasne! Przeholowałem! Wiem, przywaliłem, bo nie wytrzymałem! Skorzystałem z nieobecności starszych, następna okazja mogła się nie pojawić. Poleciał ze schodów, aż grzechotał orzeszek w puszcze na mózg. Mam nadzieję, że więcej nie przyjdzie. Nawet krwią się nie zalał, gnój, na co liczyłem po cichu. Pewnie żaden ząb się nie obłuzował, choć i tak zostały mu ze dwa, do picia wody. Ale starszym nie doniósł, spękał.

I tak by nie uwierzyli. Kłamie i obrabia dupę wszystkim dookoła. Widzisz, czasem warto wyrwać się spod maski złotego młodzieńca i zrobić coś dobrego. Trzydziestka mija, a mamusia skarży się koleżankom, że nie wychodzę z domu. Tylko książki czytam, gazety, ani piję, ani palę, a jak pojawi się dziewczyna,